



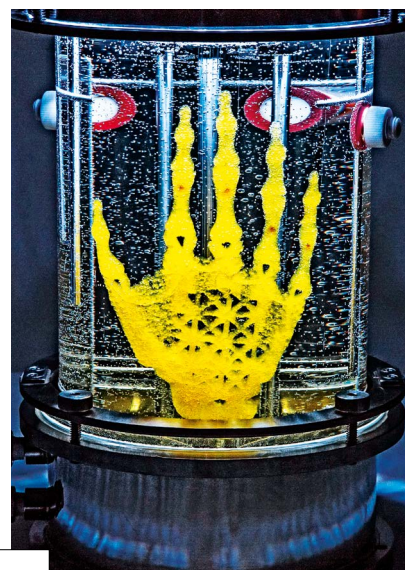
20

Rosyjski ślad na taśmach



26

Chłopcy narodowcy



100

Sztuka z życia

Temat tygodnia

12 Joanna Podgórska **Hańba Kościoła**

Polityka

16 Rafał Kalukin **Od Kuronia do Biedronia, czyli lewica szuka drogi**

20 Grzegorz Rzeczkowski **Afera taśmowa: kto stał za kelnerami**

24 Janus A. Majcherek **OGLĄD I POGLĄD Lud na piedestale**

Społeczeństwo

26 Piotr Pytlakowski **Narodowców marsz po władzę**

30 Edyta Gietka **Iwona Mularczyk – gospodyni dobrej zmiany**

33 Katarzyna Karpa-Świderek
Tomasz Pezold Knežević
Pożytki z puszczy

Rynek

36 Adam Grzeszak **Powrót marek z PRL**

40 Joanna Solska **Nowy podatek: Pol-exit-tax**

Świat

46 Tomasz Zalewski **USA Mike Pence – następcą Trumpa?**

49 Marek Świerczyński

Czym ma być europejska armia

52 Tomasz Walat **SZWECJA**

Raj się psuje

54 Artur Domośławski **MEKSYK**

Wyznawcy Świętej Śmierci

Historia

58 Adam Krzemiński **Chemnitz d. Karl-Marx-Stadt**

61 Tomasz Targański **Wrocławska defenestracja**

Nauka

64 Agnieszka Krzemińska **Pierwsze biblioteki świata**

68 Paweł Walewski **Upuszczanie krwi**

Ludzie i style

70 Raper **Vienio** o tym, co go wyprowadza z równowagi, a co pomaga tę równowagę przywrócić

74 Marcin Piątek **Trener Andrzej Woźniak: powołany uwikłany**

Kultura

80 **Maurycy Gomulicki**, artysta wizualny, współautor wystawy tatuaży w Zachęcie, o potencjale popkultury

83 KAWIARNIA LITERACKA **Pablopavo**

84 **Spike Lee**, reżyser filmu „Czarne bractwo. BlackKkKlansman”, o amerykańskim rasizmie

87 Justyna Sobolewska **„Lincoln w Bardo” – brawurowa powieść Saundersa**

88 Bartek Chaciński **Mulatu Astatke – twórca ethio-jazzu**

90 Mirosław Pęczak **Pionierzy rosyjskiego undergroundu**

93 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**

Na własne oczy

100 Marcin Rotkiewicz **Fascynujący bioart**

Stałe rubryki

• 6 Mleczko i Mizerski
• 7 Ludzie i wydarzenia • 44 Przegląd informacji rynkowych • 76 Afisz
• 94 Passent • 96 Hartman • 97 Tym
• 98 Do i od redakcji • 99 Fusy, plusy i minusy • 106 Polityka i obyczaje

PRENUMERATA PAKIETOWA

Drodzy Czytelnicy, docierają do nas sygnały o problemach z nabyciem POLITYKI w kioskach i punktach sprzedaży obsługiwanych przez Ruch SA. Sytuacja ma dotyczyć głównie mniejszych miejscowości. Jeśli spotkali się Państwo z taką sytuacją, prosimy o sygnał na adres dystrybucja@polityka.pl lub o kontakt telefoniczny 22 451 61 65.

Dla wszystkich tych z Państwa, którzy mieli problemy z zakupem POLITYKI, przygotowaliśmy specjalną ofertę prenumeraty pakietowej.

To gwarancja otrzymania zarówno każdego drukowanego wydania POLITYKI, jak również dostępu do jego wersji cyfrowej już od wtorkowego popołudnia.

Więcej informacji na s. 43.

facebook

**WSPIERA
SPOŁECZNOŚCI**

Umam Marina
@CukierniaUmamMarina



**JULITA I MARCIN Z GDAŃSKA ROZWIJAJĄ SWOJĄ FIRMĘ
DZIĘKI UMIEJĘTNEMU WYKORZYSTANIU POTENCJAŁU
FACEBOOKA I INSTAGRAMU
CZEGO MOŻEMY CIĘ NAUCZYĆ?**

Małe i średnie przedsiębiorstwa – takie jak firma Julity i Marcina – mogą dzięki Facebookowi oraz Instagramowi dotrzeć do większej liczby osób i zdobyć nowych klientów.

Przestrzeń to miejsce, które łączy społeczności. Dzięki niej Facebook przeszkoli blisko 50 000 osób z całej Polski w obszarze wykorzystywania narzędzi cyfrowych.

Dowiedz się więcej: przestrzen.fb.com



Przestrzeń
from **facebook**



www.mleczko.pl

GALERIE ANDRZEJA MLECZKI: KRAKÓW, UL. ŚW. JANA 14, WARSZAWA, UL. MARSZAŁKOWSKA 140

Z ŻYCIA SFER

Nowy początek

Korzystając z rocznicy podpisania Porozumień Sierpniowych czterej panowie (szef Solidarności Piotr Duda, wiceprezes Agencji Rozwoju Przemysłu Andrzej Kęnsbok, wiceprezes Pomorskiej Specjalnej Strefy Ekonomicznej Paweł Lulewicz i prezes Stoczni Gdańsk Marcin Stojek) postanowili „stanąć w prawdzie” i przy okazji trochę się podliznąć. Zorganizowali konferencję prasową ubraną w szaty uroczystości pod tytułem „Stocznia Gdańsk 4.0. Nowy początek”. Chcieli przedstawić plany rozwoju terenów stoczniowych na wyspie Ostrów, ale jeszcze bardziej chcieli odsonić tablicę z napisem: „W tym budynku w sierpniu 1988 roku strajkowali razem ze stoczniowcami o przywrócenie NSZZ »Solidarność« śp. prezydent RP Lech Aleksander Kaczyński oraz premier RP Jarosław Kaczyński”. I odsoniliby, gdyby sam prezes się temu nie przeciwstawił (co skądinąd potwierdza, że mało co dzieje się w polskiej polityce bez niego).

Nie ma się co oburzać. Wymienieni panowie to czterej jeźdźcy Nowego Początku 4.0: zero wstydu, zero wątpliwości, zero poczucia śmieszności, zero politycznej wyobraźni. Nie są, rzecz jasna, prekursorami takiej postawy. Była premier Beata Szydło szykuje się do startu w eurowyborach i też proponuje siebie w wersji 4.0, gdy mówi: „I ta dobra zmiana, która dzieje się w Polsce, musi się zadziać też w Europie, żebyśmy mogli spokojnie myśleć o swojej bezpiecznej przyszłości”. W przeciwieństwie

do premiera Morawieckiego, który kłamie, kiedy wymyśla „alternatywne fakty” na swoją korzyść („negocjowałem wejście do Unii”), wicepremier Szydło nie kłamie, bo jej wypowiedzi nie zawierają żadnej treści, która może być przypisana logiczną wartość: prawda – nieprawda.

Nie warto spierać się, czy bracia Kaczyńscy „strajkowali”, czy – jak napisano w zaproszeniu na uroczystość – „przebywali w hali nr 26 w czasie strajku w 1988 r.”. Byli tam, są świadkowie. To tablica pamiątkowa, a nie semantyczna. A że nie tylko oni tam byli, ale i dwieście innych osób? Nie bądźmy małostkowi. Trzeba przede wszystkim dostrzec niezwyklej potencjał pomysłu zawieszania takich tablic.

Spójrzmy na to okiem zaradnego radnego: tablice, wszędzie tablice! Mnóstwo tablic i przy okazji dziesiątki uroczystości dających szansę zabłysnąć publicznie – przeciąć, odsonić i poświęcić. Tablice na budynkach szkół, które odwiedzili bracia (lub choćby obok nich przechodzili). Tablice w teatrach, kinach, w których gościli lub byli widzami. W restauracjach, barach i kawiarniach. Nad morzem i nad rzeką. W parkach, ba!, w lasach państwowych i niepaństwowych, gdzie spacerowali, zbierali grzyby i namyślali się nad przyszłością Polski. Nieskończone pole do popisu! Jest interes do zrobienia. Nie da się stracić. I tylko prezes znów rzuca biznesowi kłody pod nogi.

REDAKTOR ZASTĘPCZY JK

Sam rząd



Jerzy Baczyński

Jak na szumne zapowiedzi, szaleństwa nie było. Samorządowa Konwencja PiS miała ujawnić strategię partii nie tylko na nadchodzące wybory lokalne, ale i na kolejne trzy kampanie. Do warszawskiej hali wystawienniczej przybył i w niej „przebywał” (tu uwaga dla lizusów z Solidarności, gdyby chcieli tam wmurować tablicę) sam Jarosław Kaczyński. Po dłuższej chorobowej nieobecności prezesa to miał być jego benefis. Ale „wielkie, programowe” wystąpienie okazało się nie długim, raczej bladym i przewidywalnym zestawem partyjnych ogólników: że „opozycja atakuje nas z zewnątrz i od wewnątrz, a właściwie nie nas, ale po prostu Polskę”; że „Polacy chcą być w Unii, jednak to nie znaczy, że mamy się zarażać społecznymi chorobami Zachodu”. I może najważniejsza, zważywszy na okoliczności, deklaracja, że co prawda „doceniamy samorządy”, ale nie chcemy takich, „które będą warczały na rząd”.

Rozwinięcie myśli, że tylko samorządy mające „dobrych gospodarzy” dostaną wsparcie z budżetu państwa, a te z „nie dobrymi” nie dostaną, prezes pozostawił premierowi Mateuszowi Morawieckiemu. To Morawiecki był bowiem współcentralną postacią konwencji (jedyne skandowane imiona to Jarosław i Mateusz!). Jarosław Kaczyński, najwyraźniej jak to możliwe, wskazał na Morawieckiego jako na faktycznego lidera kampanii, operacyjnego szefa zarządu partyjnej korporacji, sam stawiając się w roli prezesa rady nadzorczej.

Nowy plan Morawieckiego opozycja od razu nazwała szantażem korupcyjnym. I rzeczywiście, chyba nigdy w historii polskich wyborów (ostatnio mnóstwo rzeczy zdarza się nam po raz pierwszy) rządzący nie wysyłali do wyborców tak jawnego sygnału-ostrzeżenia, że jeśli źle wybiorą, to zostaną finansowo ukarani. „Wybermy takich – mówił Morawiecki – którzy potrafią współpracować z rządem”. Samorządowcy kontrowali, że polityczno-finansowa dyskryminacja jednostek terytorialnych byłaby trudna do przeprowadzenia i w oczywisty sposób nielegalna (co, rzecz jasna, w obecnych czasach niewiele znaczy). W każdym razie PiS znów, jak przed każdymi wyborami, rozpoczął operację „dziel i strasz”, grożąc zarówno zwolennikom opozycji, jak i własnym (jeśli przegracie, to tamci się na was zemszczą). Wszystko odbywało się – do czego przyzwyczyli nas zresztą poprzednie konwencje partii – w grubej zasypce retorycznego konfetti. „My nie dzielimy Polaków! – wołał z patosem premier. – Chcemy łączyć! Polska jest jedna!”. Dodając, że „nigdy nie było w Polsce tyle wolności co teraz”, „konstytucja to dla nas święte prawo”, a w ogóle jesteśmy bardzo europejską partią, bo „chodzi nam o to, żeby Polacy byli Polakami, jak Niemcy Niemcami, Włosi Włochami”. Takie, wypowiedziane bez żenady, „kocopały” będą nam, niestety, wyściełały całą kampanię wyborczą.

Jeśli mam wrażenie, że na konwencji „szaleństwa nie było”, to bynajmniej nie dlatego, że brakło fajerwerków, popisów, uczuciowych tricków – tego jest zawsze w nadmiarze – ale że skromniutko było z obietnicami, a to, co ubrano w propagandową szatę „nowej wielkiej piątki premiera”, to bezkosztowe pustostowie. Jaki charakter ma zobowiązanie „ruszamy

z programem termomodernizacji” (słyszałem, że już dawno ruszyliśmy, była nawet odpowiednia ustawa); albo „w ciągu paru lat wydamy 500 mln zł na place zabaw” (przepraszam, w ciągu ilu lat?), czy „chcemy zwiększyć wydatki na domy seniora” (kto by nie chciał?).

PiS nabrał już wprawy w nazywaniu Programami Plus zwykłych kontynuacji czy rutynowych zdarzeń gospodarczych, takich jak ogłaszany uroczyście na konwencji program budowy chodników do niektórych szkół (ile szkół potrzebuje chodników? – pomijając już fakt, że to zadania własne gmin), odnowienie niektórych dworców kolejowych („żeby były piękne” – jak z emfazą powiedział premier) czy pół procent budżetów samorządowych(!) na projekty obywatelskie. Generalnie rząd z żadnymi propozycjami do samorządów nie wyszedł, poza tą jedną, najbardziej czytelną: zapowiedzią przyszłej centralizacji, podporządkowania władz lokalnych woli i decyzjom kierownictwa państwa (ustrój typu „sam-rząd”). Żadnych konkretnych sum, terminów, deklaracji, niczego, co można by sprawdzić, rozliczyć. To oznacza, że – z punktu widzenia władzy – na te wybory ma wystarczyć „300 plus”, tzw. wyprawki, a ewentualne większe pieniądze trzeba odkładać na wybory parlamentarne.

Nawet jeśli na warszawskiej konwencji PiS nie wyciągnął żadnej wunderwaffe, nie oznacza to, że opozycja może odetchnąć. W kampanii, jak już chyba wiemy, chodzi o propagandę, nie o fakty. A PiS znowu zarządził terenowe wojaże swoich gwiazd, łącznie z premierem Morawieckim. Będą przybywać, co zawsze jest jakąś lokalną sensacją, „słuchać Polek i Polaków” i obiecywać, obiecywać – jak Jaki w Warszawie. Z pomocą TVP i Kościoła (abp Głódź przy okazji obchodów Rocznic Sierpnia wręczył prezesowi TVP Jackowi Kurskiemu „pierścien prawdy”) ma to zapewnić wyborczą przewagę PiS na wsi i w małych miastach. Prezydentury dużych miast, jak wskazują ostatnie sondaże, są raczej poza zasięgiem PiS, a układ sił w radach i sejmikach wojewódzkich będzie zależał głównie od lokalnych koalicji, bo PiS, z nielicznymi wyjątkami, samodzielnej większości nie zdobędzie. Ale nic oczywiście nie jest przesądzone; dziś bardzo duża grupa wyborców głosuje po prostu na zwycięzcę kampanii wyborczej, i tyle.

Planowane na najbliższe dni konwencje ugrupowań opozycyjnych mają jednak ułatwiony start, bo warszawski zjazd pokazał, że PiS wybory samorządowe mentalnie i programowo odpuszcza. Tym poważniej trzeba traktować głównie polityczne przesłanie skierowane przez rząd do samorządów: jeśli wygramy wybory parlamentarne, wasza „warcząca”, rozbuchana autonomia dobiegnie końca.

Jan Koza





Wizja telewizji

10 dni wakacji spędziłem z córką w Turcji i tam też dopadła mnie polityka, choć nie była to polityka bieżąca.

Jak to w „spa and resort” po kolacji hotel organizował dyskotekę, a że córka jest w wieku, w którym jeszcze na dyskoteki nie chodzi, a ja – w którym już nie chodzę, po godzinie 21 pojawiało się pytanie: w co się bawić? Jedynym kanałem polskim w hotelowej telewizji był TVP Polonia i moje dobre dziecko, przywykłe do tego, że ojciec zerka na gadające głowy na szklanym ekranie, wzięło pilota i włączyło ze słowami: „Pooglądaj sobie tatusiu”. I po raz pierwszy miałem okazję pooglądać dłużej programy informacyjne telewizji narodowej, bo w Polsce po paru parominutowych próbach wchłaniania programów TVPiS przerzucałem się na inne media. A w Turcji nie miałem wyboru. Zdzierzyłem trzy dni, a potem wieczory spędzaliśmy, rżnąc w tyśiąca i sześćdziesiąt sześć. Ale co się nazasyślałem, to moje, i pozwalała mi to na odrzucenie dość powszechnego w kręgach opozycyjnych poglądu, że „narodowe” programy publicystyczno-informacyjne to praśna, tępą propaganda.

Owsem, te programy to wyłącznie propaganda PiS, na pewno praśna, ale też inteligentna i skuteczna. Zaczniemy od tego, że tworzą one, w porównaniu z czasami sprzed 2015 r., nową jakość. W przeszłości telewizja publiczna i telewizje komercyjne z pewnością nie były wobec konfliktów politycznych nieskalanie bezstronne. Jednakże ta stronniczość przejawiała się w warstwie komentarzy i interpretacji przekazywanych informacji. Aktorzy polityczni występujący na scenie krajowej (ograniczmy się do rywalizacji PO i PiS) byli elementem rzeczywistości, o której należy poinformować, przedstawić ich stanowiska, a następnie skomentować. Sfera interpretacji – niech będzie, że stronniczej – była pochodną sfery informacji. Telewizja „narodowa” odwróciła ten porządek rzeczy. Jej pierwotnym, stałym i powtarzalnym przekazem jest założony obraz rzeczywistości politycznej, a informacje mają charakter pochodny: są ilustracją lub egzemplifikacją przekazywanego całościowego obrazu.

Obraz ten nie jest skomplikowany, organizują go dwa równoprawne bieguny: PiS (rząd, władza, parlamentarna większość) oraz opozycja. Są to, niczym partia i Lenin, „bliźnięta-bracia”: PiS-władza nigdy nie występuje bez opozycji i na odwrót. PiS-władza to polityczna reprezentacja „zwykłych Polaków” zabiegająca o to, by im było lepiej; opozycja to reprezentacja kastowych, korporacyjnych, wąskich interesów, ma w nosie to, jak żyje się „zwykłym Polakom” i pazernie zabiega o swoje. Drugim wymiarem dwubiegunowości jest PiS-władza, która jest polityczną reprezentacją wspólnoty narodowej i wykorzystana z tej wspólnoty opozycja, która intencjonalnie i funkcjonalnie jest „partią zagranicy”.

Po drugie, w przekazie telewizyjnym „narodowej” interesujące jest to, że wyłączną kompetencję do stwierdzania, co jest faktem, o którym można informować, ma PiS-władza. Jeżeli o rzeczywistości wypowiada się przedstawiciel PiS-władzy, to podane przez niego informacje o faktach stają się faktem, o którym informuje PiS-telewizja, nawet jeśli są to informacje jawnie fałszywe. Portal OKO.press zajmuje się dokumentacją notorycznych kłamstw premiera Mateusza Morawieckiego, a w codziennych przekazach PiS-telewizji

kłamstwa te przekształcane są w materię faktów, które egzemplifikują przystawanie nadrzeczywistości propagandowej do rzeczywistości rzeczywistej.

Można się na tę stałą praktykę oburzać, demaskować ją, ubolewać nad jej niewątpliwym prostactwem, ale istotne jest to, że jest ona skuteczna; PiS-telewizja jest jednym z głównych narzędzi stabilizacji zakresu społecznych wpływów PiS-władzy.

Przesądzą o tym dwa czynniki. Po pierwsze, obraz rzeczywistości politycznej przedstawiany przez PiS-telewizję przylega do odczuć, obaw i aspiracji dużej grupy Polaków. Z politycznego punktu widzenia nie jest ważne, czy PiS-władza w te odczucia trafiła, rozbudziła je, czy też stworzyła; liczy się przyleganie i związane

z nim panowanie nad procesem percepcji rzeczywistości politycznej. Po drugie, poważne znaczenie ma bezpieczeństwo poznawcze realizujące się zgodnie z prawem inżyniera Mamonia z niezapomnianego filmu „Rejs”: „Mnie się podobają melodie, które już raz słyszałem. Po prostu. No... To... Poprzez... No reminiscencję. No jakże może podobać mi się piosenka, którą pierwszy raz słyszę”. PiS-telewizja stale nuci tę samą melodię, wszystkie nowe fakty są w nią wkomponowywane. Ta nadrzeczywistość propagandowa nie jest dynamiczna, zmienna, niepokojąca i wymagająca wysiłku poznawczego. Jest stabilna, znana – i przez to bezpieczna.



© STANISŁAW TYM

W dyskusjach o telewizji publicznej w przeszłości komentatorzy o nastawieniu pięknoduchowskim formułowali pogląd, że politycy przeceniają polityczne znaczenie wpływu na telewizję, bo ten żadnej partii przed przegraną i utratą władzy nie uchronił. Rzeczywistość przyziemnych faktów nie potwierdza tego wzniesłego poglądu. Można wprawdzie powołać się na to, że przed 2015 r. PO miała „swojego” prezesa TVP Juliusza Brauna, a przeciw wyborom koncertowo przerznęła i PiS objął pełnię władzy. Jeśli jednak pogrzebać trochę głębiej, to sprawa nie przedstawia się tak prosto i można postawić hipotezę, że gdyby TVP była w okresie Juliusza Brauna bardziej i efektywniej stronnicza (np. propagandowo neutralizowała niekorzystne efekty „afery taśmowej”), to PiS samodzielnie rządowi by nie stworzył i zylibyśmy w innej rzeczywistości politycznej. O zdobyciu przez PiS większości bezwzględnej w Sejmie (235 mandatów przy 37,58 proc. oddanych głosów) przesądziło przede wszystkim to, że do Sejmu nie weszła lewicowa koalicja, która nie przekroczyła progu 8 proc. Ale wynik PiS o niecały jeden procent gorszy sprawiłby, że większość bezwzględnej też by nie było – powstałaby zapewne koalicja PiS-Kukiz'15 kłótlawa i niestabilna. Opozycji z nią byłoby dużo łatwiej.

Wydaje się, że czas telewizji publicznej z prawdziwego zdarzenia, która realizowałaby lepiej niż przed 2015 r. swoją ustawową misję, odsuwa się na święty nigdy. Jeżeli PiS wygra wybory parlamentarne w 2019 r., to będzie tak samo, tylko bardziej. Jeżeli antyPiS w wyborach 2019 r. i prezydenckich w 2020 odsunie PiS od władzy, to stworzą zaadaptując dokonania PiS-telewizji do własnych potrzeb i uwarunkowań. Gonienie za mirażem telewizji politycznie bezstronnej byłoby działaniem politycznie nieracjonalnym.

KOMENTARZ

Strażnik łamania konstytucji

Ewa Siedlecka



Pierwsza tura obsadzania Sądu Najwyższego Dobrej Zmiany zakończona, wybrańcy nowej Krajowej Rady Sądownictwa przedstawieni prezydentowi. Trwają spekulacje, czy wszystkich zaakceptuje, czy może kogoś odsieje. Tyle że to kompletnie bez znaczenia.

Symboliczna dla tej procedury konkursowej jest postać dr. hab. Kamila Zaradkiewicza. To dobry prawnik. Ale nie ta jego zaleta zdecydowała o nominacji do Sądu Najwyższego, ale „mentalność służebna”, której dowodzi od początku rządów PiS, gdy – jeszcze w 2015 r., tuż po wyborach – autorytetem urzędu dyrektora Zespołu Orzecznictwa i Studiów Trybunału Konstytucyjnego wsparł skok PiS na TK. Nie został jednak – o co zabiegał – sędzią Trybunału, bo jako zwolennika związków partnerskich skutecznie utracąca go posłanka Pawłowicz. Nagroda przyszła teraz. Ale nie za darmo. Zaprzec musiał się swoich poglądów na konstytucyjną dopuszczalność legalizacji związków jednopłciowych. Kiedy w jego imieniu na forum KRS robił to jego obecny pryncypał, minister-prokurator Zbigniew Ziobro, posłanka Pawłowicz wypowiedziała zdanie, które jest równie symboliczne co postać Zaradkiewicza: „Zaradkiewicz wszystko powie i napisze na potrzeby tego konkursu”.

Zdanie symboliczne, bo dotyczy wszystkich kandydatów, których zaakceptowała KRS. Każdy z nich musiał przejść „test Gersdorf”, czyli zapewnić, że Małgorzata Gersdorf nie jest I Prezesem Sądu Najwyższego. Zatem do SN wybrano osoby, które są posłuszne partii rządzącej, gotowe twórczo służyć partii wiedzą prawniczą, by uzasadniać prawnie jej poczynania. Takie osoby znajdują się m.in. w Izbie Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych, która rozpatrzy protesty wyborcze i zdecyduje o ważności wyborów parlamentarnych.

Oczywiście oprócz gotowości do służenia partii liczyły się przy wyborze też poglądy kandydatów. Np. wybrano założyciela wpływowej, antygenderowej i antyaborcyjnej organizacji Ordo Iuris, profesora UW Aleksandra Stempkowskiego. I trzech profesorów KUL, w tym Marka Dobrowolskiego, który jest zwolennikiem wpisania do konstytucji *Invocatio Dei* i twierdzi, że „polskie społeczeństwo jest społeczeństwem teistycznym”, czego dowodzi m.in. umiłowanie kapliczek przydrożnych i piosenek Arki Noego.

Prezydent ma na biurku kandydaty. Niektórzy kandydaci nie spełniają wymogów formalnych, jak prokurator Jarosław Duś, który nie ma wymaganego minimum 10-letniego stażu w zawodzie prawniczym, bo po pierwszych rządach PiS przeszedł w stan spoczynku. Przetrwiał tak rządy PO-PSL i teraz wrócił w chwałę do Prokuratury Krajowej. Inni kandydaci budzą wątpliwości natury etycznej, jak prokurator Adam Roch, który zlecił czynności śledcze z kobietą w trakcie porodu, co w postępowaniu przed Trybunałem w Strasburgu uznano za naruszenie zakazu tortur. Więc prezydent Andrzej Duda ma okazję zarobić parę punktów, demonstrując niezależność od PiS i skreślając te osoby. Część opinii publicznej zapewne to kupi, jak rok temu kupiła jego dwa weta do ustaw sądowych.

Tyle że dla państwa to bez znaczenia, czy w Sądzie Najwyższym zamiast tych osób zasiądą inne o „mentalności służebnej”. Problem w niekonstytucyjnej procedurze, w jakiej zostały wybrane. Wybiera je niekonstytucyjnie powołany organ, w niekonstytucyjnym trybie, na podstawie niekonstytucyjnego, bo pozbawionego kontrasygnaty premiera, obwieszczenia prezydenta o konkursie. Chcąc stanąć na straży konstytucji, prezydent musiałby odmówić wszystkich nominacji i odwołać drugi konkurs, który właśnie ogłosił. Wtedy nie będzie kwestionowania ważności wyroków tak mianowanych sędziów, w tym ważności wyborów, o czym ci sędziowie orzekną.

Tego, oczywiście, prezydent nie zrobi. Ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. To połamanie procedur i konstytucji będzie prędzej czy później podstawą zgodnego z prawem usunięcia politycznych mianowańców z Sądu Najwyższego i Krajowej Rady Sądownictwa. Żadna władza nie trwa wiecznie.

Zgłaszajmy się do komisji wyborczych

Wybory samorządowe coraz bliżej, a w komisjach ciągle potrzeba ludzi. Dlatego przedstawiamy miniprzewodnik: jak się do nich zapisać.

Kandydat musi mieć 18 lat (ukończone najpóźniej w dniu wyborów), a także znajdować się w stałym rejestrze wyborców na obszarze województwa, gdzie znajduje się gmina właściwa dla tej komisji. Wymagane jest obywatelstwo polskie lub któregoś z krajów Unii Europejskiej. Wykluczone są osoby ubezwłasnowolnione prawomocnym orzeczeniem sądu, skazane prawomocnym wyrokiem sądowym, który pozbawia praw publicznych. Kandydatów mogą zgłaszać pełnomocnicy komitetów wyborczych oraz upoważnione przez nich osoby. Członkiem komisji zostaje się po wyrażeniu na to zgody osobiście komisarzowi wyborczemu. Nowelizacja Kodeksu wyborczego faworyzuje kandydatów partii politycznych, które w poprzednich wyborach (samorządowych lub parlamentarnych) uzyskały

najlepsze wyniki, czyli mają swoich radnych w sejmikach wojewódzkich i posłów w Sejmie. Czeka na nich dwie trzecie miejsc w każdej komisji wyborczej.

Chęć zasiadania w komisji trzeba zgłaszać pełnomocnikom komitetów wyborczych (**spis na stronie Państwowej Komisji Wyborczej**), które swoich kandydatów muszą przedstawić komisarzom wyborczym **do 21 września**. A komisje ogłoszą wyłonionych kandydatów najpóźniej 1 października.

Komisja wyborcza ds. przeprowadzenia głosowania kontroluje przestrzeganie prawa wyborczego w lokalu wyborczym. Wykonuje swoje obowiązki od czasu rozpoczęcia pracy komisji, tj. najpóźniej od godz. 6.00, do momentu zamknięcia lokalu i zapieczętowania urn. Wtedy przewodniczący tej komisji przekazuje dokumenty przewodniczącemu drugiej komisji wyborczej – ds. ustalenia wyników głosowania. Praca tej drugiej komisji trwa od wieczoru wyborczego do momentu uznania przez terytorialną komisję wyborczą protokołu głosowania w obwodzie. W tym czasie jej członkowie ustalają wynik głosowania, sporządzają protokół i podają wyniki głosowania do publicznej wiadomości.

Za pracę w komisjach przysługuje wynagrodzenie. Szeregowy członek otrzymuje ok. 300 zł, przewodniczący 380 zł, jego zastępca 330 zł.

W każdym obwodzie głosowania w wyborach samorządowych powołane zostaną obwodowa komisja wyborcza ds. przeprowadzenia głosowania i obwodowa komisja wyborcza ds. ustalenia wyników głosowania. Obwodów będzie w kraju ponad 25 tys., w każdym powołani zostaną członkowie do obu komisji: w każdej powinno być 9 osób, w przypadku kiedy nie ma tylu chętnych – minimum 5. Łatwo policzyć, że potrzeba minimum ćwierć miliona osób.

Jeżeli kandydatów będzie więcej niż miejsc w komisji, zostaną oni wybrani w losowaniu publicznym przeprowadzonym przez burmistrza, wójta lub prezydenta miasta. Inne zasady będą obowiązywać tylko przy wyborze członków komisji w odrębnych obwodach do głosowania (w zakładach karnych czy w ośrodkach zdrowia). Takich komisji będzie na terenie kraju 2 tys. i w każdej zasiądzie tylko 6 osób.



© REUTERS/FORUM

Wielkie manewry z Chińczykami

Od 11 do 15 września Rosja przeprowadza największe manewry od czasów zimnej wojny. 300 tys. żołnierzy, czyli blisko co trzeci w służbie czynnej, 36 tys. czołgów i transporterów opancerzonych, 1000 samolotów, postawione na nogi całe wojska powietrznodesantowe oraz dwie floty: Pacyfiku i Północna. Przed rokiem Rosjanie ćwiczyli tuż przy naszej granicy odpieranie ataku na Białoruś i wielką kontrofensywę skierowaną na Zachód. Teraz teatrem manewrów Wostok-18 będą centralne i wschodnie garnizony, Powołże, Ural i Zachodnia Syberia, ale skala działań będzie wielokrotnie większa. Sam minister obrony Siergiej Szojgu porównał je do pamiętnych gigantycznych manewrów Zapad-81, podczas inwazji w Afganistanie, kiedy władzę w Białym Domu objął antysowiecki jastrząb Ronald Reagan. Historia przyznała rację raczej Reaganowi,

ZSRR, ówczesny agresor, nie wytrzymał wyścigu zbrojeń i przestał istnieć. Teraz Rosja wprost nawiązuje do tamtej tradycji i ówczesnych ambicji, w odpowiedzi, jak to uzasadnia, na „agresywne i nieprzyjazne kroki”, wiadomo czyje. Wtedy u boku towarzyszy radzieckich ćwiczyły wojska Układu Warszawskiego. Teraz, po raz pierwszy, w manewrach wezmą udział Chińczycy: 3 tys. żołnierzy, 900 sztuk ciężkiego sprzętu i 30 samolotów o zmiennym układzie skrzydeł. Oraz wojska mongolskie, w niesprecyzowanej ilości.

Pierwszy zgrzyt nastąpił z Japonią: 11 września, kiedy ruszają rosyjsko-chińskie manewry, premier Shinzo Abe ma zaplanowane ważne spotkanie z Władimirem Putinem we Władywostoku, na prestiżowym Wschodnim Forum Ekonomicznym. Trudno byłoby mu uznać, że ta koincydencja to czysty przypadek.

Zbyt romantyczny

Nie mam wpływów, nie mam władzy, lobbyści są za silni – tak swoją dymisję uzasadnił minister Nicolas Hulot, jeden z najpopularniejszych Francuzów. Żeglarz, radiowiec, pisarz i wieloletni autor programu telewizyjnego „Ushuaïa”, magazynu wyczynów ekstremalnych. Aż czterej po kolei prezydenci Francji starali się pozyskać go do rządu, a udało się to dopiero Emmanuelowi Macronowi. Teraz po 15 miesiącach sprawowania urzędu Hulot odszedł, i to wielki cios dla prezydenta tym bardziej, że Hulot ogłosił dymisję w audycji radiowej na żywo ze skutkiem natychmiastowym. Dlaczego? Nawet nazwa jego urzędu to tłumaczy: minister transformacji ekologicznej. Miał przekształcać model rozwoju kraju, a uważał, że te przekształcenia idą za wolno, że nie zapobiegamy niszczeniu środowiska naturalnego. Ponadto Hulot był przeciwnikiem energii nuklearnej. Wspierając Hulota, 200 osobowości świata kultury i nauki wystosowało bezprecedensowy apel do polityków, aby poważnie zajęły się przyszłością planety.

Prorok z Addis Abeby

Abiy Ahmed, energiczny 42-latek, został najmłodszym premierem w Afryce ledwie w kwietniu i już zdziałał niemało. Osiągnął porozumienie z Erytreą, kończące 18 lat wojny, zakończył stan wyjątkowy, wypuścił tysiące więźniów politycznych, przywrócił setki portali internetowych, które wcześniej zamknęła ostra państwowa cenzura, ogłosił ambitny program prywatyzacji, obejmujący nawet Ethiopian Airways, i wsparcia sektora prywatnego. A przede wszystkim rzucił hasło, które bardzo podzielało na wyobraźnię 100 mln Etiopczyków (drugiej co do wielkości nacji w Afryce): „rozbierajmy mury, budujmy mosty!”

Abiy to ideał. Po pierwsze – Oromo; to najlicniejsza tu grupa etniczna, licząca 35 mln osób, od lat mająca poczucie marginalizacji, czemu ostatnio dawała coraz aktywniej wyraz. Za zmianami po obaleniu komunisty Mengystu Hajle Marjama



© GETTY

(w 1991 r., który nastąpił po obalonym cesarzu Hajle Sellasjje) stali głównie Tigrajczyki, mniejsza etnia, co z czasem zaczęło wywoływać konflikty. Po drugie – tata Abiy'ego to muzulmanin, a mama to chrześcijanka, a on sam jest dobrze wykształcony, również w Londynie, ma komponent wojskowy, jest podpułkownikiem, oraz mówi – i uwodzi – w trzech głównych miejscowych językach.

No i gromadzi setki tysięcy na wiecach poparcia (odbył też triumfalne tournée wśród Etiopczyków w USA), trafił na koszulki i nalepki w taksówkach – i powoli, wśród ludu, zaczyna być traktowany jak prorok. Zesłany Etiopczykom po latach mizerii. To ma oczywiście dobre strony, ale też niesie w sobie niebezpieczeństwo zbyt wygórowanych oczekiwań. Etiopia rozwija się dziś najszybciej w całej Afryce, ale ma liczne problemy, głównie z większą anachroniczną strukturą. Również napięcia etniczne szybko nie znikną, nawet podczas wielotysięcznego głównego wiecu poparcia w Addis Abebie wybuchły granaty. Daleko nie wszyscy uwierzyli w proroka.

Katalonia nie odpuszcza

Nowy przywódca Katalonii wraca do tematu niepodległości.

Niemal rok po zawieszeniu katalońskiej autonomii **Quim Torra**, następca przebywającego na politycznej emigracji Carlesa Puigdemonta, wygłasza programowe przemówienie w regionalnym parlamencie, zapowiadające zorganizowanie kolejnego referendum w sprawie pokojowego wyjścia Katalonii z państwa hiszpańskiego. Poprzednie, wygrane jesienią ub.r. przez zwolenników separacji, doprowadziło do kryzysu w stosunkach Katalonii z Madrytem, wprowadzenia rządów bezpośrednich, uwięzienia grupy katalońskich działaczy niepodległościowych (do dziś za kratami, ale już w kraju, nie w Madrycie).

Tymczasem w Hiszpanii od władzy został odsunięty na tle korupcyjnym konserwatywny premier Mariano Rajoy, który w imię konstytucji rozpędził poprzednią ekipę rządzącą Katalonią. Jego następca, socjalista Pedro Sanchez, autonomię odwiesił, ale uwięzionych niepodległościowców nie zwolnił. Teraz ostrzegł Torrę, że forsowanie referendum zmusi go do przywrócenia rządów bezpośrednich. Dotąd polityka Sanchez'a różniła się od polityki Rajoya w jednym ważnym punkcie: był gotów do dialogu z Katalończykami. Ale Torra odpowiedział Sanchezowi, że przecież podczas spotkania w lipcu sam przyznał, że problem jest polityczny i wymaga politycznego rozwiązania.



Wikingowie byli uchodźcami

Kiedy widzę palące się samochody, zamieszki spowodowane przez nielegalnych imigrantów, zastanawiam się, gdzie jesteście, wikingowie? – taką wypowiedź popisywał się ostatnio poseł PiS Dominik Tarczyński w wywiadzie dla szwedzkiej telewizji internetowej, przyłączając się do grona krytyków szwedzkiej polityki imigracyjnej. Tymczasem okazuje się, że już szwedzcy wikingowie byli imigrantami, być może nawet z Polski. Świadczą o tym badania archeologiczne przeprowadzone na cmentarzach Sigtunie, miasteczka w pobliżu Sztokholmu, które na przełomie X i XI w. funkcjonowało jako centrum handlowe i ekonomiczne Szwecji. Szczątki pochowanych w Sigtunie wikingów wskazują, prawie w połowie, na genetyczne pochodzenie przybyszów z Wysp Brytyjskich, obecnych państw nadbałtyckich, Niemiec i innych krajów Europy Środkowej.

Pojęcie „szwedzkości” nie ma miejsca w genetyce, twierdzi uczestniczący w badaniach Anders Götherström, profesor Uniwersytetu Sztokholmskiego. Ludzie mieszały się od tysiącleci i można to dziś prześledzić, wskazuje. Polacy z kolei mogą być w jakiejś części potomkami szwedzkich Wandali, którzy w swym zbójckim marszu przez Europę zostawili swoje genetyczne ślady w północnej Polsce i na Śląsku. Wykazały to wcześniejsze szwedzkie badania archeologiczne na tych terenach.

Nowa NAFTA

Rządy USA i Meksyku zgodziły się na zmiany w NAFTA, czyli Północnoamerykańskim Układzie Wolnego Handlu. Gdy wszedł on w życie w 1994 r., zniósł większość tarif handlowych między jego stronami. Od początku rządów Donald Trump chciał jednak układ renegocjować albo wręcz zerwać, nazywając go „najgorszym porozumieniem handlowym w historii Ameryki”.

Ustąpił Meksyk, godząc się m.in., że zwolnione z cel będą tylko auta wyprodukowane w co najmniej 75 proc. w Ameryce Północnej oraz że przynajmniej połowa ich części będzie wytwarzana przez pracowników zarabiających min. 16 dol. na godzinę. Biorąc pod uwagę, że w Meksyku przy takiej pracy zarabia się ok. 2,3 dol., przemysł samochodowy w tym kraju może mieć problemy. Ale korzyści dla Ameryki też są co najmniej wątpliwe. Szczególnie że wciąż nie wiadomo, czy te zmiany zaakceptuje trzecia strona starego NAFTA, czyli Kanada.

Rezultatem będą niemal na pewno niższa produktywność, wyższe ceny dla konsumentów i coraz mniej konkurencyjny przemysł samochodowy Ameryki. Taka polityka Trumpa wynika jednak z jego staroświeckiego rozumienia merkantylnizmu, który zakłada, że celem państwa jest minimalizowanie importu i maksymalizowanie eksportu. Amerykańskie firmy mają produkować w kraju, nawet jeśli kosztowniej.

Akcja Baby Shoes Remember przed kościołem św. Floriana w Krakowie.



Wstyd i zgorszenie

Kościół katolicki już wie, że kryzysu związanego z pedofilią nie da się przeczekać. Jednak polscy hierarchowie wciąż chyba wierzą, że może tak.

JOANNA PODGÓRSKA

Po raz pierwszy w Polsce na bramach i ogrodzeniach kościołów zawisły dziecięce buciki przepasane czarnymi wstążkami. Tak było w ponad 30 miastach, głównie tych największych, ale też w Przemyślu, Lublinie, Oświęcimiu, Kołobrzegu czy Węgorzewie. Baby Shoes Remember to akcja międzynarodowa – gest solidarności z ofiarami księży pedofilów. Narodziła się w Irlandii osiem lat temu, by – jak tłumaczyli pomysłodawcy – świadczyć, że ofiary nigdy nie zapomną o tym, czego doznały w dzieciństwie, i by Kościołowi nigdy nie było wolno o tym zapomnieć.

Ostatnia pielgrzymka papieża Franciszka do Irlandii była związana z zaproszeniem na Światowe Spotkanie Rodzin, ale ani media, ani opinia publiczna nie były specjalnie zainteresowane tym, co przedstawiciele Kościoła mają do powiedzenia na temat rodziny. Uwagę skupiło spotkanie Franciszka z ofiarami kościelnej pedofilii. I papież miał pełną świadomość, że tak będzie. Kilka dni przed irlandzką pielgrzymką napisał list, w którym w imieniu Kościoła prosi o wybaczenie. To pierwszy papieski list w całości poświęcony pedofilii i adresowany do całego „ludu Bożego”.

„Ze wstydem i skruchą, jako wspólnota kościelna, przyznajemy, że nie potrafiliśmy być tam, gdzie powinniśmy być, że nie działaliśmy w porę, rozpoznając rozmiary i powagę szkody spowodowanej w tak wielu ludzkich istnieniach. Zlekceważyliśmy i opuściliśmy maluczkich – napisał. – Konieczne jest, abyśmy jako Kościół mogli rozpoznać i z bólem oraz wstydem potępić te potworności popełnione przez osoby konsekrowane, duchownych, a także przez tych wszystkich, którzy mieli misję czuwania”. W maryjnym sanktuarium w Knoks papież błagał o przebaczenie za zgorzenie i zdradę, a podczas mszy w Dublinie modlił się o wybaczenie win tych członków hierarchii kościelnej, którzy wybrali milczenie zamiast konkretnych działań. I miał na tyle taktu, by podczas wizyty ani słowem nie skomentować referendum, w którym Irlandczycy zdecydowali o wykreśleniu z konstytucji zakazu aborcji.

Gniew społeczny za tuszowanie pedofilskich skandali doprowadził do całkowitej erozji autorytetu i wpływu Kościoła w Irlandii. Jeszcze w latach 90. to był zupełnie inny kraj. Kościół sprawował tu absolutne rządy duchowe. Miał pod kuratelą oświatę, szpitale, sierocińce. Panował kult papieża, obrazek z Janem Pawłem II zdobił niemal każdy dom. Kościół stał ponad prawem.

Irlandzki system

Na kolejne doniesienia medialne oskarżające kler o mroczne czyny i nadużycia opinia publiczna początkowo reagowała sceptycyzmem, a Kościół zbywał je milczeniem. Aż było ich na tyle dużo, że w końcu coś pękło. Kolejne raporty powołanych przez państwo komisji wstrząsnęły społeczeństwem. Odsłoniły prawdę o pełnych grozy i okrucieństwa historiach, do których dochodziło m.in. w kościelnych domach opieki, sierocińcach czy słynnych pralniach magdalenek, prowadzonych przez zakonnice. Szok wywołała nie tylko skala tego zjawiska (ofiara duchownych padło co najmniej 30 tys. dzieci), ale też zmowa milczenia, która wokół niego panowała. Nawet jeśli ofiary albo ich rodziny zgłaszały skargę na policji, a niżsi rangą funkcjonariusze próbowali nadać jej bieg, władze wyższe szybko zamiatowały ją pod dywan.

Prymas Irlandii kard. Sean Brady zapowiedział, że jeśli zostanie udowodnione, że choć jedno dziecko było molestowane z powodu jego zaniechań,łoży rezygnację. Wkrótce po tym, gdy ukazał się kolejny raport o nadużyciach seksualnych kleru, musiał przyznać, że od 1975 r. nie tylko znał sprawę księdza pedofila Brendana Smytha, ale też był świadkiem, gdy dwie z jego ofiar zostały zmuszone do podpisania zobowiązania o milczeniu. Smyth grasował od lat 50. Jego przełożeni o tym wiedzieli, ale uciszali ofiary, a księdza przenosili do innych parafii. Gdy Irlandia zrobiła się za mała – także za granicę. Brendan Smyth okazał się winnym 130 przypadków gwałtów i molestowania dzieci w dziewięciu krajach. Prymas Brady nie ustąpił ze stanowiska. Nie odwołał go także papież Benedykt XVI.

Raporty pokazały jeszcze jedno – wykorzystywanie dzieci przez irlandzki kler to nie były indywidualne przestępstwa, ale system, który działał za wiedzą i pod ochroną najwyższych władz Kościoła. „Nie jest to historia smutnych, chorych facetów, którzy przypadkiem byli duchownymi. Wyszło na jaw, że jedną z funkcji, jaką pełnił Kościół w Irlandii, był klub. Był to narodowy klub pedofilów – pisał Brendan O’Connor, publicysta „Irish Independent”. – Od dziesiątków lat wiedzieli to w Irlandii wszyscy zainteresowani: jeśli masz takie chore inklinacje, Kościół jest dla ciebie właściwym miejscem. Nie tylko ułatwi ci dostęp do chłopców i dziewczynek, lecz także zapewni zaufanie ze strony łatwowiernych rodzin i dzieci, pełnych bojaźni Bożej. (...) A chroniąca cię instytucja, jej hierarchia, będzie budziła respekt i lek wszędzie – od policji po władze państwowe. Który pedofil nie dałby dużo za dożywotnie członkostwo w takim klubie?”. Gdyby Kościół był jakkolwiek inną instytucją, po tym, co wyszło na jaw, zostałby zdelegalizowany – kwitował O’Connor.

Irlandzki Kościół nie został co prawda zdelegalizowany, ale płaci straszną cenę. Nie tylko finansową, związaną z odszkodowaniami dla ofiar. Zapłacił cenę utraty autorytetu społecznego i prawa do moralnych pouczeń – Irlandczycy nie tylko opowiedzieli się w referendum za legalizacją aborcji, ale też zaakceptowali homoseksualne małżeństwa. Stracił wpływ polityczny. Irlandia przez kilka lat nie utrzymywała nawet ambasadora przy Stolicy Apostolskiej w wyniku konfliktu o dostęp do archiwów watykańskich. Kościół płaci wreszcie cenę absolutnego kryzysu powołań. Zamknięto wszystkie diecezjalne seminaria duchowne. Nie było chętnych. Garstka kleryków kształciła się w seminarium św. Patryka w Maynooth, ale gdy w 2016 r. wybuchł tam głośny skandal homoseksualny, zostali wycofani.

Od Austrii do Australii

Jak w akcji #MeToo pedofilskie skandale wstrząsały kolejnymi lokalnymi Kościołami. Pierwszy z tych najpoważniejszych wybuchł w Austrii już w 1995 r. Josef Hartmann po lekturze listu pasterskiego arcybiskupa Wiednia Hansa Groera, w którym pisał on, że ani homoseksualiści, ani zniewieściali nie pójdą do nieba, skontaktował się z tygodnikiem „Profil” i opowiedział, że przed 20 laty był przez arcybiskupa molestowany. Dziennikarze dotarli do innych ofiar Groera, który przez lata pracował jako nauczyciel i spowiednik w szkole dla chłopców. Jego skłonności były tajemnicą poliszynela. Zapowiedź publikacji w tygodniku wywołała groźby, próbowano zastraszyć dziennikarzy. A po niej ruszyła lawina zgłoszeń od osób wykorzystanych przez kler.

Pierwsza reakcja hierarchów? To „nikczemność i łajdactwo”; nie molestowanie dzieci, ale wyciąganie takich spraw. „Profil” nazwano „nazistowskim szmatławcem”, a sprawę porównywano do procesów księży w III Rzeszy. Hartmann był przez ludzi Kościoła dezawuowany jako paranoik i bardzo chora dusza albo antychryst, który wziął za swoją relację judaszowe srebrniki (nie wziął). Arcybiskup milczał. Wyniki wewnętrznego śledztwa kościelnego, które wysłano do Jana Pawła II, nigdy nie zostały upublicznione, ale gdy papież miał przybyć do Austrii z pielgrzymką, Groera wysłano do klasztoru „dla podratowania zdrowia”.

Pod naciskiem opinii publicznej (500 tys. zebranych podpisów) zaczęto jednak wyjaśniać sprawę. Powstała niezależna komisja, Kościół zaczął wypłacać odszkodowania i zdecydowanie zmienił ton. „Droga prawdy, na którą się zdecydowano, była bolesnym wyzwaniem, ale w pewnym stopniu była łaską, pozwalającą ludziom swobodnie wypowiedzieć swój dramat” – mówił przewodniczący episkopatu kard. Christoph Schoenborn. Skandal kosztował austriacki Kościół utratę setek tysięcy wiernych.

Jedną z najpotężniejszych była afera spowodowana publikacją w dzienniku „Boston Globe” w 2002 r. (powstał na ten temat nagrodzony Oscarem film „Spotlight”). Główna historia dotyczyła księdza, który przez 30 lat krzywdził dzieci, przenoszony przez zwierzchników z parafii do parafii. Dziennikarskie śledztwo ujawniło więcej takich przypadków, a przede wszystkim fakt, że kard. Bernard Law, szanowany bostoński hierarcha, był w pełni świadom, co się dzieje, a na skargi reagował przenoszeniem sprawców do innych parafii. To uruchomiło lawinę zeznań milczących do tej pory ofiar. Media ujawniały afery pedofilskie we wszystkich stanach. Potem ruszyła lawina pozwów, która doprowadziła amerykański Kościół na skraj bankructwa. Suma odszkodowań przekroczyła 2,5 mld dol. Kard. Law podał się do dymisji i ewakuował do Watykanu, gdzie immunitet chronił go przed amerykańskimi śledczymi. Jan Paweł II powierzył mu jedną z czterech papieskich bazylik.

Coraz szybciej przewracały się kolejne kostki domina. W Belgii ujawniono taśmy, na których ulubiony kardynał Belgów Godfried Danneels namawia do milczenia ofiarę molestowaną przez księdza (obecnie pełniące funkcję biskupa) ►

► od piątego roku życia. Nie przeprasza, nie okazuje współczucia, tylko przekonuje, że biskup za rok odchodzi na emeryturę, więc nie ma potrzeby obrzucać go błotem. Opinia publiczna uznała nagranie za porażające. Kardynał podał się do dymisji, a prokuratura nakazała przeszukanie nie tylko jego mieszkania i laptopa, ale nawet sarkofagów w katedrze w poszukiwaniu dokumentów świadczących, że już wcześniej lekceważył doniesienia o pedofilii. Niezależna komisja ujawniła 500 skarg na molestowanie i kilkanaście przypadków samobójczej śmierci ofiar.

Niemcy – ta afera otarła się o starszego brata papieża Benedykta XVI, Georga Ratzingera, kierującego chłopięcym chórem, gdzie miało dochodzić do molestowania i bicia (przepraszał i tłumaczył, że nic o tym nie wiedział). Późniejsze dochodzenie wykazało, że do gwałtów i nadużyć dochodziło w dwóch trzecich niemieckich diecezji. Hierarchowie próbowali tłumaczyć to „seksualizacją społeczeństwa”, ale nikt im już nie wierzył.

Papież Benedykt XVI wezwał w końcu do radykalnego oczyszczenia i zerwania z próbami ratowania wizerunku Kościoła kosztem krycia przestępców. A klocki domina padały nadal – Holandia, Kanada, Australia. Kościół nigdzie nie uporał się z problemem pedofilii sam i nie wziął za nią odpowiedzialności finansowej nieprzymuszony. Mechanizm wszędzie był podobny. Szokujące doniesienia w mediach, a potem wkracza państwo, powołując niezależne od Kościoła komisje. Rola instytucji państwowych jest w tej kwestii nie do przecenienia.

Polski klimat

A jak to wygląda u nas? Pierwszy poważny skandal pedofilski odkryła „Gazeta Wyborcza” w 2001 r., opisując historię proboszcza z Tylawy, który przez 30 lat molestował dziewczynki. Sprawa trafiła do prokuratury w Krośnicy, którą kierował wówczas Stanisław Piotrowicz. To nie on prowadził postępowanie i nie on podpisał postanowienie o jego umorzeniu. Ale to on był wówczas przełożonym i on na konferencji prasowej (opisanej przez „Gazetę”, a przypomnianej ostatnio przez portal OKO.press) tłumaczył powody umorzenia. Całowanie dziewczynek w usta bagatelizował jako „dawanie ciumka”. Dotykanie ich miejsc intymnych miało być związane ze zdolnościami bioenergoterapeutycznymi księdza. „Pojawiły się też zeznania, że jeśli dziecko bolał brzusek, to po dotknięciu przez księdza ból zniknął” – tłumaczył Piotrowicz. Dziewczynki nocowały na plebanii? Dla dzieci to atrakcja. Ksiądz je kąpał? Po prostu były brudne.

Ostatecznie, po interwencji Ministerstwa Sprawiedliwości, proboszcz z Tylawy został skazany na dwa lata więzienia w zawieszeniu za molestowanie sześciu dziewczynek. Dziś, pod presją opinii publicznej, takie sprawy traktowane są przez wymiar sprawiedliwości poważniej. Polskie prawo jest wobec pedofilów bardzo restrykcyjne. Jednak jeśli chodzi o duchownych, nadal zdarza się, że zapadają wyroki rażąco niskie (cztery lata dla księdza, który więził i gwałcił ze szczególnym okrucieństwem małą dziewczynkę).

Fundacja Nie lękajcie się, zrzeszająca ofiary duchownych pedofilów, udokumentowała ponad 60 przypadków skazanych księży. Jednak gdy minister Zbigniew Ziobro ogłosił publiczny rejestr skazanych pedofilów, Marek Lisiński, prezes Fundacji Nie lękajcie się, szukał w nim nazwisk kilkudziesięciu skazanych duchownych i nie znalazł ani jednego. Według mec. Artura Nowaka, który wielokrotnie reprezentował ofiary duchownych pedofilów, polski wymiar sprawiedliwości nie wykorzystuje dostatecznie narzędzi, które ma. Mógłby żądać od organów kościelnych dostępu do akt z procesów kanonicznych czy akt osobowych księży. Nawet wytyczne episkopatu dają taką możliwość. Ale Kościół najczęściej odmawia. Teoretycznie sąd mógłby w takiej sytuacji nałożyć grzywnę. – *Nie znam jednak takiego przypadku, choć trudno sobie wyobrazić, żeby sądowi w takiej sytuacji odmówił bank czy*

jakakolwiek inna instytucja – mówi mec. Nowak. We wszystkich krajach, gdzie udało się oszacować skalę pedofilii wśród duchownych i kwestię jej ukrywania przez przełożonych, pracowały nad tym świeckie komisje. W Polsce trudno to sobie wyobrazić. Zbyt silne są związki Kościoła z państwem. Taki mamy klimat...

Jest jasne, że Kościół sam tej sprawy nie wyjaśni. Rzecznik prasowy episkopatu ks. Józef Kloch, pytany o skalę problemu, odpowiedział bezradnie: Sam chciałbym wiedzieć. Jest to o tyle dziwne, że od 2001 r. obowiązuje watykańska instrukcja, by wszelkie, nawet jedynie prawdopodobne, przypadki czynów pedofilskich popełnionych przez duchownych biskupi niezwłocznie zgłaszali Stolicy Apostolskiej. Muszą być zatem odnotowane w diecezjalnych archiwach. Wystarczyłoby je zliczyć. Jednak polski Kościół nadal stosuje politykę minimalizowania problemu i bicia się w cudze piersi.

Symbolem bezradności intelektualnej hierarchów stała się słynna wypowiedź abp. Józefa Michalika o dziecku, które „Ilgnie i drugiego wciąga”. Nawet uchodzący za liberała bp Tadeusz Pierson skwitował, że Kościół ma poważniejsze problemy, a pedofilia „była, jest i będzie”. Dziś, gdy pojawia się temat pedofilii, Kościół się broni: są wytyczne episkopatu, powołaliśmy koordynatora ds. ochrony dzieci i młodzieży, wszystko jest pod kontrolą. – *Dwukrotnie spotkaliśmy się z o. Adamem Żakiem, który pełni funkcję koordynatora, ale nic z tego nie wynikło, bo on nie ma żadnych kompetencji co do przeszłych spraw. Zajmuje się jedynie prewencją* – opowiada Marek Lisiński. – *Pisaliśmy do prymasa i innych ważnych osób w Kościele z prośbą o spotkanie. Nikt nam nie odpowiedział. Jedynie nuncjusz napisał, że się za nas modli.*

Jednego polski Kościół boi się jak ognia – odpowiedzialności instytucjonalnej, bo to się wiąże z wypłatą odszkodowań. Pierwsza z takich spraw zakończyła się ugodą. Kuria koszalińska wypłaciła ofierze 200 tys. zł jako zwrot kosztów terapii. Potem posypały się kolejne. Kościół płaci, tyle że po cichu, najczęściej w ramach ugody gabinetowej, byleby uniknąć słów „zadośćuczynienie” czy „odszkodowanie”. I uniknąć wrażenia, że Kościół jako instytucja ma cokolwiek wspólnego z pedofilią. Ale po tym, co stało się w ostatnich latach na świecie, tego wrażenia nie da się uniknąć. Ono już dawno sięgnęło Watykanu. W Polsce rola Jana Pawła II w tuszowaniu pedofilskich skandali była tematem tabu, ale i ono jest przełamywane. Podczas akcji buickowej pod jednym z kościołów pojawił się transparent: „Jan Paweł II wiedział”. A ostatnio do sieci zaczęły trafiać zdjęcia papieskich pomników z tabliczką: „Kryłeś pedofilów”.

Rola papieża

Gdy wybuchł skandal po publikacji w „Boston Globe”, Jan Paweł II nie potrafił nawet nazwać rzeczy po imieniu. Nie przeszły mu przez usta takie słowa, jak „pedofilia” czy „przestępstwo”. Mówił o „nadużyciu, które według wszelkich standardów jest złem”. Nie ma wątpliwości, że za jego pontyfikatu tuszowano seksualne skandale. Z takimi oskarżeniami zmagał się też Benedykt XVI, bo jako wieloletni pracownik kurii rzymskiej był odpowiedzialny za wyjaśnianie tych afer. Jako papież otwarcie przyznał się do win Kościoła i wezwał do pokuty. Usprawnił procedury karania księży i przyspieszył tryb ich wydalania ze stanu kapłańskiego, ale nie stworzył systemu karania hierarchów, którzy kryli lub lekceważyli oskarżenia. Biskupi składali dymisje lub przechodzili na wcześniejszą emeryturę, ale trudno to uznać za przejrzyste rozliczenie winy.

Papież Franciszek w 2015 r. wstępnie zgodził się na stworzenie odrębnego trybunału dla biskupów. Powołał także Papieską Komisję ds. Ochrony Nieletnich, w której zasiadał m.in. dwie ofiary księży pedofilów, Marie Collins i Peter Saunders. Pojawiła się nadzieja, że Franciszek udźwignie wagę problemu. Pierwszy z komisji papieskiej odszedł Saunders, który zarzucił papieżowi, że mianował biskupem jednej z chilijskich diecezji Juana Barrosa Madrida